

Milik, Zdzisława

Prowincjonalna siłaczka

Zeszyty Naukowe Ostrołęckiego Towarzystwa Naukowego 4, 216-222

1990

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Pamiętnik

PROWINCJONALNA SIŁACZKA

Autorka ur. w 1935 r. w Przasnyszu, rozpoczęła pracę bibliotekarską w 1953 r., zaś w Bibliotece Miejskiej w Przasnyszu pracowała nieprzerwanie w latach 1956-1990, otaczana powszechnym szacunkiem i wdzięcznością czytelników. Obecnie na emeryturze, mieszka w Przasnyszu.

"Pani do dobrze" — stwierdzają moi mali czytelnicy — "Sobie siedzi, czyta książki i tylko jak ktoś przyjdzie, to wypożyczy mu książkę".

Naprawdę jest mi dobrze, chociaż nie z powodów, jakie wyliczają dzieci odwiedzające moją placówkę. Dobrze mi jest, bo lubię swoją pracę, książki i dzieci. Jestem więc, jak to się mówi potocznie, "na swoim miejscu". Pracy jest ogrom, bo to dziecięce stwierdzenie — "pani nic nie robi, tylko czyta książki" — jest wynikiem mojej znajomości księgozbioru i gustów oraz poziomu czytania moich czytelników. Skoro pani wie, o czym się pisze w każdej prawie książce — musi je czytać. Zresztą czytelnicy już "wyrośnięci" z mojej placówki, którzy za żadne skarby nie chcą przenieść się do biblioteki dla dorosłych, często zwracają się do mnie z prośbą o dobranie lektury — "bo jak pani wybierze, to z chęcią się czyta". Czy to nie jest powód do zadowolenia? Przecież nie medale, dyplomy te oficjalne, załatwiane przez kogoś znajomego, a właśnie dowody uznania ze strony tych niejednokrotnie umorusanych dzieciaków są autentycznym uznaniem i nagrodą.

Żeby jednak dojść do takiego stwierdzenia, trzeba było wiele lat przepracować w kulturze, najpierw powiatowej, a później po reorganizacji — miejskiej. Trzeba było prawie trzydzieści lat obserwować to przepychanie się łokciami w drodze do foteli ustawionych na różnych miejskich szczeblach. Trzeba było być blisko rozmaitej maści kółek i klik, trzeba było widzieć dekorację medalami "za zasługi", których nikt by się nie dopatrzył. Zresztą, czy to się już skończyło? — i czy się kiedyś skończy? Wszystko to jest wstrętne, niskie i chyba niezniszczalne. Człowiek stojący z boku, aczkolwiek blisko tego brudu, a posiadający zdolność myślenia, jest przede wszystkim niebezpieczny dla tego plugastwa. Należy je zniszczyć, pogrążyć, żeby się nie wygrzebało. I nie ma na to mocnych, bo kilka osób ma silne powiązania, znajomości, a i dysponuje innymi środkami.

Ale to jest w świecie dorosłych.

Tu, na tych kilkudziesięciu metrach kwadratowych, jest inny świat. Świat wzajemnej ufności, bez zakłamania i wiele znaczących nieudomówień. I tu właśnie jest mi dobrze, choć to wcale nie znaczy, że łatwo. Ale zacznijmy od początku.

Do bibliotekarstwa trafiłam zupełnie przypadkowo. A tak, przypadkowo. Po prostu rodziców nie było stać na wysłanie mnie na studia matematyczno-fizyczno-chemiczne (takie kierunki wchodziły w rachubę, bo przez cały czas nauki wykazywałam zdolności do przedmiotów ścisłych), a nauka w Jarocinie była bezpłatna, trwała tylko pół roku i gwarantowała szybkie otrzymanie pracy. Co prawda kierunek nauki nie był w pełni zgodny z moim zainteresowaniem, ale logiczne, ściśle myślenie przyda się w każdym zawodzie.

Tak zwany nakaz pracy otrzymałam do Biblioteki Powiatowej w Siedlcach. 15 marca 1955 roku stałam się więc bibliotekarką. Powierzono mi stanowisko instruktora. Niewiele umiałam, bo przecież recytacja formułek w terenowej pracy na nic się nie przyda. Nadrabiałam więc ambicją i uporem, żeby w konfrontacji z długoletnimi bibliotekarzami-praktykami nie wypaść żałośnie.

Powiat-gigant z dniem 1 stycznia 1956 roku podzielono na dwa. Podniesiono regionalną miścinę, jaką były Łosice, do rangi miast powiatowych. Przeniesiono mnie tam i zostałam kierowniczką Powiatowej i Miejskiej Biblioteki, której w zasadzie jeszcze nie było. Trzeba było ją organizować. Cały czas jednak od ukończenia nauki w Jarocinie czyniałam starania, żeby wrócić do rodzinnego Przasnysza. Taka możliwość, którą skwapliwie wykorzystałam, zaistniała pod koniec 1956 roku.

W Powiatowej i Miejskiej Bibliotece Publicznej w Przasnyszu rozpoczęłam pracę w dniu 1 listopada 1956 roku. Tu również powierzono mi opiekę nad placówkami terenowymi. byłam jednoosobowym działem instrukcyjno-metodycznym. W okresie tym powiatowa sieć biblioteczna składała się z 19 bibliotek i 164 punktów bibliotecznych. Powiat nie należał do małych, ale praca była łatwiejsza, ze względu, że były to moje rodzinne strony.

Jak wyglądała wtedy praca instruktora w terenie, można by wiele napisać. Bibliotekom nie śniło się o własnych samochodach, a i autobusy PKS nie wszędzie dochodziły. Tam, gdzie docierały, były to najczęściej tzw. budy, a więc kryte ciężarówki. Częstotliwość tych kursów pozostawiała wiele do życzenia. Szczytem luksusu była więc chłopska furmanka (wtedy jeszcze tak zwany "żelaźniak"), gdzie miejsca dla bibliotekarza ustąpił oddany na spęd prosiak.

Można powiedzieć, że była to romantyczna i pionierska praca, ale jakże trudna. Właśnie w czasie jednej z tego rodzaju podróży zostałam oczarowana pięknem gwary kurpiowskiej. Niby Przasnysz to też Kurpie, ale u nas można usłyszeć jedynie niedbale zniekształconą wymowę, nie mającą nic wspólnego z gwara. Owocem tej fascynacji było nawiązanie kontaktu z panią Jaworską z Instytutu Sztuki przy Polskiej Akademii Nauk. Wspólnie wyjeżdżałyśmy na Kurpie i nagrywałyśmy pieśni i gadki kurpiowskie.

Pamiętam wyjazd do Baranowa, gdzie pewna gospodyni postawiła sprawę jasno: "Teściowa będzie śpiewała, jak panie postawią ćwiartkę gorzółki". Życzenie zostało spełnione. Bardzo leciwa babcia wypila za naszą pomyślność i zdrowym głosem dała koncert na dwie taśmy magnetofonowe. Nagrywałyśmy w Brodowych Łąkach i w Jastrzębce, gdzie zaprzyjaźniłyśmy się wprost z byłą więźniarką obozu koncentracyjnego. Do dziś pamiętam jej śpiewanki z wesela kurpiowskiego. "Niby-folklor" radiowy czy estradowy jest karykaturą tamtych pieśni.

Wkrótce więc w moim kąciku instrukcyjno-metodycznym obok wzorów katalogów i kartotek znalazły się eksponaty w postaci taśm przywiezionych z terenu i inne wytwory sztuki kurpiowskiej.

Jak wyglądała wtedy wieś kurpiowska, może powiedzieć tylko ten, kto ją przemierzył wzdłuż i wszerz często na własnych nogach. Poznałam dobrze szkoły, gdzie najczęściej mieściły się punkty biblioteczne.

Pamiętam mój pierwszy wyjazd do Brodowych Łąg (Zawad). Punkt biblioteczny w tej miejscowości prowadził Aleksander Kopeć — kierownik szkoły. Po przyjeździe do wsi zapytałam o szkołę, na co mnie z kolei zapytano, "o którą szkołę chodzi".

— Oczywiście o podstawową — i znów replika,

— U nas są trzy szkoły podstawowe.

Były to po prostu izby lekcyjne wynajęte w trzech znacznie odległych od siebie chłopskich chałupach. Jedna z tych izb sąsiadowała z pomieszczeniem inwentarskim i do dziś nie

wiem, jakim cudem dzieci znosiły okropny fetor wydostający się z tego pomieszczenia. Kilka lat później nie musiałabym pytać o szkołę w Brodowych Łąkach, bo piękna tysiąc-latka bielila się na całą okolicę. Tak właśnie zmieniała się nasza wieś, a z nią cały kraj.

Postępowanie objął również sposób myślenia. Zniknęły zabobony i przesady. Dziś już nikt nie pokazywałby palcami kobiety w spodniach. W początkach mojej pracy jednak kobiety w Parciakach miały mi za złe, że śmiałam gorszyć ich oczy takim widokiem. Staralam się tego unikać, ale podróż z Przasnysza do Parciak trwała wtedy od 6-tej rano do 12-tej w południe z dwiema przesiadkami w Chorzelach i na stacji PKP Parciaki, a zimy były mniej łaskawe jak obecnie. O służbowych kożuszkach czy kozakach nikt nie słyszał; i kurtka przesyta ze starego okrycia zimowego i spodnie śniły się każdemu pracownikowi terenowemu. Ten strój jednak na wsi dość długo był nie do przyjęcia.

Mam jednak bardzo miłe wspomnienia ze spotkań z kierownikami punktów bibliotecznych. Po zakończeniu nauki punkt biblioteczny wyobrażałam sobie jako pokoik z pięknie nakrytym stolikiem, regałem na książki i kierownikiem punktu czekającym tęsknie na czytelnika. Do dziś pewnie ten obraz nie jest obcy naszym młodym magistróm bibliotekarstwa. Zderzenie z rzeczywistością było bardzo bolesne, wprost szokujące. Okazało się, że te oazy kultury, jakimi są punkty biblioteczne, rozkwitają co prawda zimą, ale umierają prawie latem, bo prowadzą je zapracowani rolnicy.

Pamiętam, jak dotarłam zimą do punktu bibliotecznego w Ziomku koło Bakuły i zastałam tam kilku rolników, którym prowadzący wówczas Stanisław Mizerek czytał "Potop" Sienkiewicza. Lokal co prawda nie przypominał pokoiku ze stoliczkiem, bo była to kuchnia typowa dla wsi, a rolnicy siedzieli w zimowych butach i ciepłych okryciach, chociaż od czerwonej płyty kuchennej buchało ciepło. Byli zażenowani moją obecnością. Nie należeli do najmłodszej generacji i może sami nie potrafili czytać.

Przed obrazami z przeszłości trudno się opędzić, bo widzę znów następny przypadek. Koło Baranowa w Makdanie starsza kobieta zrezygnowała z prowadzenia punktu, ale za rogiem chałupy stała i czekała na nas wspólnie z nią mieszkająca synowa z prośbą o pozostawienie książek. W domu przy teściowej bała się swą prośbę przedstawić. Oczywiście punkt został na starym miejscu. Takie właśnie przykłady pozwalały pieszo przemierzać po kilka i kilkanaście kilometrów dziennie, żeby pomóc, pouczyć i wielokrotnie zrobić za kierownika punktu, który ucłowieczał wieś kurpiowską, bo przecież kto nie sięga z własnej potrzeby po książkę, ten może być maszyną do spania, jedzenia czy robienia pieniędzy, ale z człowieczeństwem mało ma wspólnego.

Bardzo trudne lokalowe sprawy bibliotek charakteryzował koniec lat pięćdziesiątych i początek sześćdziesiątych. Biblioteki gromadzkie zajmowały nawet zrujnowane pomieszczenia w przedwojennych dworach szlacheckich. Rezydowała w takim dworku, którego uroda dawno już minęła, biblioteka gminna w Krzynowłodze Wielkiej. Wspominam ten lokal jako zatęchłą, wilgotną norę. Lepiej usytuowanych placówek terenowych było bardzo niewiele.

Władze terenowe doceniając działalność bibliotek systematycznie przenosiły je do lepszych lokali, przygarniały je do nowo budowanych budynków gromadzkich rad narodowych, umieszczały je w starych szkołach po wybudowaniu nowych. Reprezentacyjną placówką w tym okresie była Biblioteka Gromadzka w Dzierzgowie. Autorytet i praca bibliotekarki — pani Domiceli Michalskiej — sprawiły, że umieszczono jej placówkę w dwuizbowym lokalu, wyposażonym w centralne ogrzewanie. Było tu miło, czysto, schludnie i o każdej porze roku ciepło. Takie biblioteki należały do rzadkości. Pani Michalska pracowała tu wiele lat, cieszyła się dużym autorytetem i była wprost przykładem dla innych. Były również, niestety, i takie i to licznie reprezentowane bibliotekarki, które nie nadawały się do innej pracy — a już do popularyzacji książki

najmniej. Upychano je do bibliotek, bo "tam się nic nie robi" — jak twierdzili "światli" członkowie ówczesnych prezydiów terenowych rad narodowych.

Tak się złożyło, że od początku pracy w Przasnyszu powierzono mi opiekę instrukcyjno-metodyczną w zakresie czytelnictwa dziecięcego i to zarówno w Bibliotece Powiatowej, jak i w całym powiecie. Żeby zdobyć doświadczenia w tym zakresie, prowadziłam własny zespół dziecięcy. Są to najprzyjemniejsze wspomnienia. Uczestnicy pierwszego mojego zespołu mają już swoje własne dzieci, które są obecnie uczestnikami aktywnego czytelnictwa przy mojej Filii Dziecięcej. Z domu bowiem, gdzie książka gości nie od dzisiaj i nie spełnia ona wyłącznie funkcji dekoracyjnej w nowoczesnym segmencie, dzieci wnoszą nawyk czytania. Problem czytelnictwa dziecięcego w latach sześćdziesiątych stawiany był bardzo wyraźnie, od szczybla najwyższego począwszy. Zdawano sobie wtedy sprawę, że dziecko to nasz przyszły potencjalny czytelnik dorosły.

Czytelnictwo dziecięce w każdym roku prowadzone było pod wspólnym hasłem. Organizowane wówczas konkursy i inne akcje były tematycznie związane z głównym hasłem. Rok 1960 dla przykładu obchodzony był pod hasłem "Jedziemy w świat". Była to wielka akcja popularyzująca wiedzę o różnych krajach. Form pracy i pomysłów było tyle, ilu było bibliotekarzy. W kolejnym roku dzieci wędrowały szlakiem "Pyzy na polskich drózkach", a więc poznawały nasz kraj i jego różne regiony. Wszystko działa się z udziałem książki dziecięcej.

Akcje te były udane na naszym terenie, echem odbiły się bardzo wysoko. Wynikiem tego była wizyta pani Marii Gutry z Ministerstwa Kultury i Sztuki. Maria Gutry odwiedziła Przasnysz i Dzierzgowo, gdzie uczestniczyła w pracach zespołów czytelniczych. Przasnyskie dzieci "wędrowały właśnie wtedy po Afryce". Przeniosły je tam umiejętnie dobrane książki. Dzieci "przywiozły" z tych wędrowek masę eksponatów, rysunków i tematycznych albumów. Jako wyróżnienie byłam odtąd zapraszana na wszystkie wojewódzkie spotkania kierowników oddziałów dziecięcych, aczkolwiek w Przasnyszu oddziału takiego nie było. Wyróżnienie to było dla mnie wielkim zaszczytem. W okresie tym odbywało się wiele spotkań z pisarzami piszącymi dla dzieci. Pamiętam spotkanie z Czesławem Janczarskim w Baranowie, Teodorem Goździkiewiczem w Czernicach Borowych, Wojciechem Żukrowskim i Wojciechem Siemionem w Dzierzgowie. Były to lata, kiedy spotkanie było formą bardzo atrakcyjną. Przychodziły na nie całe rodziny, nawet matki z małymi dziećmi. Wszędzie był kłopot z nadmiarem ciekawych tego człowieka, co pisze książki.

Pamiętam — pilotowałam jako instruktor biblioteki powiatowej pisarza na spotkanie w Bakule. Pisarz spóźnił się o całą godzinę. Upredziłam go, że możemy w Bakule już nikogo nie zastać. Jakie było jednak nasze zdziwienie, kiedy dojeżdżając do celu, już na tak zwanych rogatkach, dojrzelismy wypatrujące nas czujki, a po dotarciu do świetlicy siedzących w zimnym pomieszczeniu kilkadziesiąt osób.

Pisarze nie zawsze byli podobni do własnych książek. Udawały się spotkania z Teodorem Goździkiewiczem czy Janczarskim, gorzej już jednak przyjmowani byli Centkiewiczowie, Przymanowski czy Żukrowski. Przemięte również były spotkania z Wojciechem Siemionem, który pozostał mi w pamięci jako zapalony kolekcjoner staroci we wszelkiej postaci. Penetrował w tym celu wiejskie kościoły, kapliczki przydrożne i chłopskie chałupy.

Nie było więc sezonowości w pracy kulturalnej. Od pracowników tego resortu wymagało się zdyscyplinowania i solidności. Przestrzegano godzin pracy i wymagano prowadzenia dzienniczków, gdzie należało wpisywać wykonane przez pracownika czynności. Pewnie obecnie nazwałoby się to terrorem i tresurą, a to był tylko porządek, bez którego kilkanaście lat później zaprzepaściliśmy poprzedni dorobek.

Rzetelna praca przynosiła korzyści. Placówka nasza przez 11 lat, w latach od 1955 do 1966, zajmowała I miejsce w województwie warszawskim. Liczyliśmy się również w kraju. Nasze inicjatywy czytelnicze, jak np. utworzenie w naszej gromadzie przynajmniej jednego przykładowego punktu bibliotecznego, podejmowane były przez wiele bibliotek w Polsce. W 1963 roku zajęliśmy I miejsce w kraju w konkursie czytelniczym "Złoty Kłosa dla Twórcy — Srebrne dla Czytelników". Ministerstwo Kultury i Sztuki ufundowało nam wtedy samochód marki "Nysa" do pracy terenowej.

W czerwcu 1964 roku kierowniczką naszej biblioteki — Jadwiga Kotkowska — była delegatem na IV Zjazd PZPR. Reprezentowała bibliotekarzy z całego kraju i w ich imieniu zbierała głos z trybuny zjazdowej. W następnym roku powierzono naszej kierowniczce mandat delegata na Krajowy Kongres Kultury.

W 1967 roku w uznaniu naszej pracy Ministerstwo Kultury i Sztuki nadało naszej bibliotece imię Zofii Nałkowskiej, które nosi do chwili obecnej. Biorąc pod uwagę, że Przasnysz nigdy nie był metropolią, osiągnięcia te uważam za bardzo duże. Były one wynikiem dobrej pracy całego zespołu, a więc i mojej.

Pewnym wyróżnieniem dla mnie było skierowanie mnie na Studium Oświaty i Kultury Dorosłych w Warszawie, które w roku 1972 ukończyłam z wynikiem bardzo dobrym. Okazało się wkrótce, że był to najbardziej fałszywy krok w moim życiu. Dziwnym bowiem zbiegiem okoliczności w okresie, kiedy otrzymałam dyplom wyżej wspomnianego studium, zwolniło się miejsce dyrektora Powiatowego Domu Kultury. "Postawiono" mnie, jak to było wtedy modne, na to stanowisko. Towarzysz odpowiedzialny wówczas za kulturę z ramienia Komitetu Powiatowego PZPR zdecydował bez dyskusji i bez pytania mnie o zdanie. Zza biurka, przy którym spędziłam 16 lat, "awansowano" mnie w ciągu jednego dnia na tak reprezentacyjne stanowisko w powiecie. I przestano się mną zajmować. Było to stanowisko, którego najmniej się spodziewałam i najmniej pragnęłam. Zdawałam sobie sprawę, że jako kobieta na tym stołku długo się nie utrzymam, a jednak pracowałam tu 9 lat (od 1.X.1972 do 15.VI.1981 r.). Dla mnie to była wieczność.

Nie będę opisywała tu działalności Państwowego Domu Kultury w tym okresie, bo są całe tomki, skoroszyty i kroniki, gdzie dzień po dniu można odtworzyć. Praca ta była w pewnym sensie kontynuacją mojej działalności na polu kulturalno-wychowawczym prowadzonej przeze mnie pracy w bibliotece. Kierowanie kulturą obejmowało również sprawy administracyjno-gospodarcze, które dzięki naszej biurokracji są bardzo uciążliwe, a i wiąże się z nimi poważna odpowiedzialność. Sprawy te absorbowały mnie bardzo, bo kultura najmniej nadaje się do ugniataania w utarte formy.

Placówka moja nigdy do najgorszych nie należała. Przodowaliśmy nawet w województwie. Staraliśmy się przygarnąć w naszej placówce ludzi, którym się wydaje, że mają talent. Dom Kultury — to przecież nie akademii plastyczna czy szkoła muzyczna. Oczywiście, łatwiej jest pracować z ludźmi wybitnie zdolnymi, ale u nas liczyło się kulturalne spędzenie czasu. Wychodząc z tego założenia pod hasłem "Przasnyskie muzy bez etatu" skupiliśmy w naszych zespołach już w roku 1973 wielu amatorów w dziedzinie plastyki, recytacji, fotografii, muzyki. Powstał również "Fan-Club" popularyzujący muzykę dyskotekową i klub miłośników muzyki poważnej. Uczestnicy zespołów zmieniali się, zmieniały się nazwy zespołów, ich specjalizacja, zawsze jednak obok własnego doskonalenia się uczestnicy wychodzili z szerszą działalnością. Plastycy-amatorzy na przykład organizowali wystawy swoich prac. Robili to tak dobrze i licznie, że placówka nasza przewodziła w tym względzie całemu województwu. W Przasnyszu tradycyjnie już do dzisiaj odbywają się wystawy malarskie plastyków-amatorów z całego województwa.

Zespoły recytatorskie, muzyczne, śpiewacze — przygotowywały systematycznie programy z okazji rocznic i obchodów. Brały one również udział w konkursach ogólnopol-

szych takich, jak: konkurs piosenki radzieckiej, konkursy poetyckie i recytatorskie i inne. Wyników udziału w konkursach nigdy nie musieliśmy się wstydić, zazwyczaj wracaliśmy z nagrodą lub wyróżnieniem niezależnie od szczebla eliminacji.

Zespoły przygotowywały również programy, z którymi wyjeżdżaliśmy do poszczególnych gmin czy wiosek. Przyjmowano nas miło, choć nieraz zbyt gościnnie i po staropolsku. Wyjazdy te dla mnie jako osoby odpowiedzialnej za całą ekipę były bardzo uciążliwe.

Upowszechnianie wiedzy odbywało się przy współpracy Towarzystwa Wiedzy Powszechnej, Towarzystwa Miłośników Ziemi Przasnyskiej, Biblioteki Miejskiej i innych instytucji i organizacji do tego powołanych. Odczyty nie przyciągały wielu słuchaczy. Sięgaliśmy po inne formy, do nich należały wycieczki po mieście z przewodnikiem w celu poznania historii Przasnysza organizowane wspólnie z Towarzystwem Miłośników Ziemi Przasnyskiej. Wspólnie z Biblioteką Miejską organizowany był konkurs "Co wiesz o książce i bibliotece". TPPER współdziałało z nami w zakresie organizacji wielu etapów Turnieju Wiedzy o ZSRR.

Spotkania, jako forma popularyzacji ludzi wartych reklamy; nie wszystkie cieszyły się dużym zainteresowaniem. Ważne było nazwisko. Liczne np. było grono wielbicieli, a przede wszystkim wielbicielek, talentu Stanisława Mikulskiego, Stanisława Niwińskiego po serialu "Czarne chmury" czy wreszcie Andrzeja Kopiczyńskiego po telewizyjnym "Czterdziestolatku". Gorzej było z innymi, mniej popularnymi. Do udanych z okresu mojej pracy w domu kultury zaliczam cykl imprez zorganizowanych pod hasłem "Sport i piosenka". Imprezy te łączyły ze sobą elementy poznawcze z sportem i estradą. Łączyły one zawody sportowe z występami zespołów estradowych Domu Kultury, z popularyzacją wiedzy o olimpiadach, wielkich sportowcach i historią sportu. Cieszyły się one dużą popularnością w naszym mieście.

Dom Kultury w Przasnyszu pierwszy w województwie rozpoczął pracę z najmłodszymi w formie corocznie organizowanego festiwalu piosenki dziecięcej. Po nas dopiero była Ostrołęka i inne miasta.

Od 1980 roku w czasie majowych Dni Kultury, Oświaty, Książki i Prasy organizowane były Dni Przasnysza, których finałem był Jarmark Przasnyski — impreza ogólnomiejska, pełna tańca, śpiewu i muzyki. Dom Kultury był tu inicjatorem, koordynatorem i głównym wykonawcą.

Przyszła jednak sierpień 1980 roku, powstała "Solidarność". Nasza małomiasteczkowa społeczność zwietrzyła świeży powiew, wiele osób zmieniało dotychczasowe "piórka". Do Domu Kultury zaczęli zgłaszać się ludzie o zdecydowanie negatywnym stosunku do władzy ludowej. Chcieli organizować wiece, strajki, odczyty, spotkania z działaczami mazowieckiej "Solidarności". Nie zezwoliłam na to. Nie było mi z nimi po drodze. Wprowadzona w błąd w pierwszym okresie zgłosiłam swój akces do "Solidarności", ale już po pierwszych strajkach zażądałam skreślenia mnie z listy członków. I to przesądziło sprawę. Rozpoczęły się nieustające szykany, do których dołączył ówczesny naczelnik miasta, wierny wyznawca idei wspomnianego związku. Sprawę moją postanowiono definitywnie zakończyć na przedpierwszomajowym zebraniu "Solidarności" z udziałem ponad 20 osób. Tu już sprawa została postawiona bardzo jasno: albo darzę sympatią "Solidarność" i przygnę do swojej placówki członków KOR-u i Solidarności, przydzielę im pomieszczenia na biura, drukarnię i umieszczenie krótkofalówki (!!!), albo muszę szukać sobie pracy.

Wybrałam to drugie. Żeby mieć dowód, jaka to ze mnie "czerwona", podstawiono mi mikrofon i nagrano moją wypowiedź, jak i całe zebranie na taśmę magnetofonową. Cieszę się bardzo, że nie wywieziono mnie wtedy na taczkach. Pewnie zadecydował tu mój

autorytet i to, że jestem kobietą. W zebraniu tym brał udział towarzysz, który 9 lat wcześniej "postawił" mnie na stanowisko dyrektora Domu Kultury. Przed omawianiem mojej sprawy wyszedł z zebrania. Za słaby był, żeby przeciwstawić się, ale zabrakło mu bezczelności, żeby w oczy powiedzieć mi, że muszę odejść. Jak widać, nawet za taką cenę należy bronić swojego stołka.

Sytuacja moja była o tyle dobra, że z obowiązków służbowych wywiązywałam się dobrze, pod względem rozliczeń finansowych również nie miano mi nic do zarzucenia. Pozwolono mi więc wrócić do pracy w bibliotece, ale nie wyrzucono mnie na bruk. Niczego więcej nie pragnęłam, chociaż nie w takich okolicznościach. Nie jestem rozgoryczona, przywyczałam się już nawet do widoku konsekwentnego marnowania i niszczenia dobra we wszelkiej postaci, jakie zgromadziłam w okresie swojej pracy w Domu Kultury.



413512009